

65  
tele-  
wizja

GAŁOŚĆ  
POŁÓWKI

Przyzwyczajenie, druga natura telewidza, kazalo się spodziewać po autorskim występie Ryszarda Hanin retrospektywnego przeglądu jej dorobku aktorskiego. Kto głosował przed bodaj dwoma laty, w ankiecie tygodnika „RTV”, na najlepszą kreację w poniedziałkowych spektaklach Teatru TV, oczekiwał fragmentów „Matki” Karela Capka. Kto w ostatnio wyświetlanym serialu na temat najważniejszego dnia w życiu, najżywszym darzył uczuciem „Gre”, znów dla wyróżnienia zagranej przez Ryszardę Hanin roli, czekał na pojawienie się jej z uczuciem, iż wie, co zobaczy. Przyzwyczajenie, druga natura telewidza, domagało się od aktorki, z wybitnym znawstwem grającej rolę kobiet sercem podszitych, dyskursywnego stosunku do relacji aktor — człowiek. Któż to jednak z góry określił, iż w „Moim programie” należy koniecznie rozwijać pawł ogon

dawnych ról albo obierać się z masek jak cebula? Pani Ryszarda zaproponowała widowni doskonałą tożsamość swej osobowości z uprawianym zawodem, wykorzystala ramy „Mojego programu” nie dla spojrzenia wstecz na przebytą drogę, lecz dla dodania do kolekcji ról dla niej charakterystycznych — propozycji nowych, i jak się zdaje, odświeżających ten zaklęty w naszych wyobrażeniach o niej „sposób na kreację”. Wydawała się być dotąd, w najpowszechniej znanym repertuarze — ba, zabrzmiało to mistycznie — matką nas wszystkich, kobietą prostą i dobrą, wyrozumiałą i serdeczną. Kobiecość postaci, w jakiej się wcielala, pozostawała w takim ujęciu jakby neutralna, była kobiecością macierzyńską, bez pewnego rodzaju ambicji; od życia spodziewala się akurat tyle, co od nas samych, uchodzących

w jej oczach za bezbronne pisklęta. A tutaj, w „Pięknym i nieczułym” Jeana Cocteau, proponuje Ryszarda Hanin postać wyzwoloną z obowiązków sentymentalnych, kobiecość pełną w swych egoistycznych oczekiwaniach, żalownie nie umiejącą się pogodzić ze swą samotnością. Ta kobiecość bierze wnet odwet we „Wzorowym małżeństwie” Różewicza: cierpliwa i poslušna podnosi bunt w imię swej godności; przygaszona, oddająca się małżeńskiej monotonii, a wreszcie sprowokowana — ukazuje w akcie wzburzonej pretensji całą iluzoryczność układu. Coś się zapewne zmieniło po tym fascynującym spektaklu w naszym odczytaniu aktorstwa Ryszardy Hanin — to, w czym zwykliśmy upatrywać jej genre, okazało się dalece subtelniejsze. Nasza dobra matka — jak zaczęliśmy to wreszcie rozumieć — ma swoje pry-

watne życie, kobiecość nie sprowadzającą się tylko do umiłowania porządku w kuchni i ambicjonalnego dostosowywania się do poziomu swych dorosłych dzieci.

★

I zaskoczenie drugie, jeśli tak można powiedzieć: wymanewrowanie telewidzów, spragnionych potwierdzenia fantastycko-naukowych wizji autora „Solaris”, przez jego racjonalną potowę. Zapewne, Stanisław Lem wszedłszy do studia, wymodelowanego na bezduszny księżycowy krajobraz, wołał powrócić czym prędzej na ziemię faktów dokonanych, nie dających szans wyobraźni. Autorytet Lema, tym razem sceptycznego dla wszelkich „wspomnień z przyszłości”, musi porządnie wstrząsnąć umysłami nie zwykłymi brać poprawki na literackość swych

wyobrażeń. Należy się domyślać, iż przestaną wierzyć Lemowi, ale — paradoksalnie — nie jego książkom. Jakkolwiek by było, na tym świecie trzeba się trzymać choćby jednego. Na wierze, nadziei i miłości (do braci z kosmosu) też można zbudować sobie wewnętrzne bezpieczeństwo.

MIECZ

PS. Janusz Rolicki, prowadzący „Sam na sam” ze St. Lemem zauważył w pewnym momencie całkiem słusznie, że film niemy to jest — film bez dźwięku. Niepotrzebnie jednak ten jego komentarz wzbudził kontrowersyjne spory w pewnych środowiskach, czy Janusz Rolicki zerwał się z księżycą. Rolicki po prostu, naszym zdaniem (w czym jesteśmy bliscy kierownictwu tv), ma prawo występować na wierzchu, kiedy zechce.